

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

BUDNIK

Józef Kraszewski

Budnik

«Public Domain»

Kraszewski J.

Budnik / J. Kraszewski — «Public Domain»,

Budnik to robotnik leśny, który przybył na tereny wschodniej Rzeczypospolitej z Mazowsza, gdzie zajął się karczowaniem lasów, produkcją smoły i drobnymi materiałami budowlanymi. Budnicy zamieszkiwali lasy, w których stawiali małe budowle mieszkalne, tzw. budy, od których pochodzi ich nazwa. Budnikiem był Bartosz, bohater powieści Kraszewskiego, który mieszkał w małej chacie ze swoimi dziećmi — synem Maciejem i córką Julusią. O dom dba jego bratowa, wdowa, pani Pawłowa. Wiedzie on skromne, ale szczęśliwe życie. W jego córce zakochany jest panicz Jan, dziedzic pobliskiego folwarku. Chce to wykorzystać pani Pawłowa, która pragnie wysłać dziewczynę na służbę do dworu, by zapewnić rodzinie lepsze życie. Bartosz jest przeciwny temu pomysłowi, ale sytuacja się zmienia, gdy wraz z Maciejem zostają aresztowani. Wówczas Pawłowa realizuje swój plan i Julusia udaje się do dworu.

Содержание

I	6
II	9
III	10
IV	13
V	17
Конец ознакомительного фрагмента.	19

Józef Ignacy Kraszewski

Budnik

W ciągu lat dwudziestu kilku **Budnik** dożył wydań kilku i tłumaczenia na język niemiecki. Autor we własnej wiosce miał budników i mógł się ich obyczajom przypatrzeć, a malował, jak zwykle – z natury. Leżało w ogóle wówczas na sercu wprowadzenie naszego własnego, rzeczywistego świata do powieści w miejsce konwencjonalnych obrazków, a nawet salonowych historyj, które barwy ani charakteru nie mają nigdy innej nad – kosmopolityczną. Leżało też na sercu równouprawienie w obec sztuki tych klas społeczeństwa, które przedtem nie miały prawa ani do sceny, ani do romansu, ani do obrazu, chyba przeodziane w jakąś szatę skrojoną przez urzędowego krawca... **Budnik** należy do tego szeregu, w którym się mieści *Ułana*, *Ostap Bondarczuk*, *Jermoła* i inne powieści z życia ludu... Dziś i ten lud wcale inaczej wygląda. Co było powieścią stało się – powtarzamy – historią prawie. – Stare dzieje! ćwierć wieku przysypało ich grób, a na nim zielenią się nowe kwiaty.

6. Stycznia 1874.

I

Chociaż od niejakiego czasu nie zbywa nam na pisarzach, w kraju szukających przedmiotów i natchnienia do swoich obrazów, wiele stron naszego życia, wiele okolic kraju, wiele charakterów właściwych nam, pozostały piórem nietknięte, myślą jeszcze niedoścignione. Tak giną i zapadają w przeszłość, bezpowrotnie może, liczne obrazy, któreby dopełniły późno przedsięwziętą, pojętą późno historią wewnętrzną; gdyż wkrótce i dziejopis nawet w zamilkłych podaniach nie znajdzie śladu wielu stron preradzającego się w nowe oblicze życia.

Dawniej wszystko, czego nie zapisały kroniki, krystalizowało się w podaniu idealizującym na swój sposób historię; dziś wszystko się powoli zapomina, lub dziwacznie, ubogo, sucho, w kilku słowach, jak pogardliwa jałmużna, rzuca się nadchodzącej przyszłości. Lecz kto wie? może na mogiłach podań wyrosną dopiero poetyczne ich kwiaty.

To rzecz pewna, że rozmaite miejscowości zaledwie dziś (nie mówię zbadywane), ale rozpatrywane być poczynają. Ciekawość powierzchownym poglądem chce chwycić obraz, który się wyciska na przelotnej podróźnego karcie, martwo i płasko. Trzeba żyć w kraju, w kątku, który się ma opisać żywo; trzeba by między nim a nami był związek nietylko przedmiotu obserwacji z ciekawością postrzegacza, ale związek żywotny, serdeczny, inaczej obraz da tylko powierzchnię bez ducha. Wieleżto ciekawych pozostało okolic, nietkniętych dotąd, pominiętych, z którymi oswojeni ci, którzy w nich życie wiodą, nie śmieją, nie umieją, nie mogą przerzucić na papier co widzą: bo nie czują znowu ważności przedmiotu, który jest ich chlebem powszednim.

Dosyć już dawno czytając podróż jakiegoś angielskiego turysty, który z nad brzegów Gangesu, przez Persję i Kaukaz, potem przerywając się częścią Wołynia, spieszył do Londynu, opisując po drodze Młynów i Torczyn bardzo powierzchownie i pocieszenie, pomyśleliśmy: że opis własnego dobrze znajomego kraju, okolicy, mógłby przecież być zajmującym. Wydana próba wzbudziła naśladowców, którymi niech się nam będzie wolno poszczycić. Za Wspomnieniami Wołynia, poszły w ślad Wspomnienia Podola, Żmudzi i Wielkiejpoli. Lecz wszystkie, a naprzód próbka nasza, jakże są jeszcze dalekimi od tego, czemby podróż po własnym kraju być mogła i powinna! Ile zajmujących tajemnic pozostało za szrankami tych książek, które szukały w miastach, pańskich dworach i pałacach, na gruzowiskach i ruinach zamczysk, przedmiotów do obrazów jednostronnych i niepełnych. Ileto razy przyszło nam żałować pośpiechu, myśląc jakby go nową pracą wynagrodzić.

Dziś wszakże nie przychodzimy do was, miłośnicy czytelnicy, ze wspomnieniem podobnym, ale z powieścią, której treścią prostą będzie obrazek żywota klasy ludu najmniej może znanej, zamieszkującej lasy Polesia wołyńskiego.

Ta odrębna obyczajami, językiem, wiarą i twarzą różniąca się wielce od otaczającego ją plemienia garść przychodniów, oddawna tu osiadłych, pospolicie zowie się **Budnikami** lub **Mazurami**. Pierwsze z tych nazwań pospolitsze.

Pochodzenie tych osadników, nazwisko Mazurów, mowa ich, dochowany nieco akcent i obyczaje, dostatecznie wyświecają; lecz ani powód wędrówki, ani czas kiedy tu przyszli, nie jest nam wiadomy. Wszyscy prawie od bardzo dawna, lat dwóchset i więcej zamieszkali w tym kraju, lecz niejedna rodzina zmieniała kilkakrotnie chatę i przenosiła się z miejsca na miejsce. Prócz szlacheckich nazwisk rodowych, żadnych pamiątek pochodzenia swego, żadnych piśmiennych jego nie dochowali dowodów.

Osady te Mazurów nie są wsiami, nigdzie prawie kilku chat razem niewolniczo skupionych nie znajdziesz, wszystkie rozpięchłe po lasach i puszczech, najczęściej pojedynczo na wzgórzach, u ruczajów nieopodal dróg siedzą. Lecz w jednej okolicy, rozległej puszczy, w jednym obrębie lasów zwykle kilka, kilkanaście i kilkadziesiąt rodzin razem się mieści, choć oddzielonych od siebie znaczną niekiedy przestrzenią. To rozstrzelanie ich nie wpłynęło bynajmniej na pomieszanie z ludem okolicznym, na zatarcie pochodzenia, zapomnienie mowy, a nawet nie zmusiło ich do zawierania

związków z Rusią otaczającą. Mazurowie pozostali po największej części sami sobą i wierni pamięci swego rodu, który wysoko, choć bez żadnej przyczyny wynoszą.

Odosobnienie ich, osamotnienie, rodzaj życia dzikiego, zajęcia dziś znacznie zmienione po wyniszczeniu lasów, które oni wprzód wyrabiali na belki, klepki, smołę, dziegieć i potaże, musiały przeważnie wpłynąć na ich obyczaje i stan moralny. Tak się też stało. Ci ubodzy bud leśnych mieszkańcy są dziś może najbiedniejszą i najsmutniejszą, litość wzbudzającą klasą mieszkańców Polesia.

W początkach osadnicy ci, może dla swej zręczności w pędzeniu smoły, wyrabianiu dziegiu i wygotowywaniu z popiołów korytnego i kotłowego potażu sprowadzani, zapewniony mieli dobry byt samym pracy dostatkim. Później, gdy przenoszącym się z opustoszałej puszczy jednej do drugiej nie stało zajęcia; gdy z robotników dobrze płatnych, przeszli na nędznych leśnych tułaczy; odwykli od roli, do której i ochoty im braknie, ledwie mając za co kilka kóz i chudą kupić krowę, nie zawsze szczęśliwi myśliwcy, zubożeli do ostatka. Długi pobyt na tej ziemi zacierając pamięć okolic z których wyszli, zabraniał im powrotu, o którym i nie myślą nawet.

Ogromne tutejsze puszcze, których proste jak trzciny, jak trzciny gładkie sosny masztowe wzrastały wieki, których dęby potężne, wanczosów i klepki tak długo dostarczały do Gdańska i Królewca, których gęstych zarośli tyle się w popiół popłatny zmieniło; dzisiaj stały się smutną pustynią, gdzie zwierza spotkać, drzewa dorodnego znaleźć trudno. Łosie, dziki i sarny i ptastwo nawet uciekło z gołych borów na nieliczne gęstwiny, które trzęsawiska otaczające lub dziwny przypadek od chciwego wyrobku do szczętu ochronił.

Gdzie przeszedł budnik z siekierą swoją na plecach, z sznurkami powiazaną strzelbą na ramieniu, głucha po nim cisza i pnie tylko po nim zostały a spróchniałe kłody. Gdzie zaś sosnowe lasy wyrobiono aż do balów i murlatów, tam w ostatku dziedzic i pnie nareszcie na łuczywo, z którego się pędzi smoła, powydobywać kazał. Widok lasu zniszczonego w ten sposób jest czemś dziwnie smutnem; jest ruiną, gorzej, bo wielkim zdaje się cmentarzem, na którym śmiesznie byłoby zapłakać, a nie można się oprzeć smutnemu wrażeniu.

Gdzież bowiem dzisiaj te puszcze nasze szumiące wśród uroczystej ciszy wieczora?!... Teraz odkryte bagniska i trzęsawy, które porasta szorstki wiszar i bobownik, gołe, smutne, obrosłe po brzegach choiną niską i krzywą; zdają się placem potyczek duchów, które zbiegły z przeredzłych puszczy w gęste, wysokie trawy i osoki. Gdzieniegdzie kępina gnidnikiem i mchem pokryta, zdaje się wyzywać nogi myśliwca, by je zdradliwie osuwając się, w niezgruntowane trzęsawiska pogrążyć. Ówdzie woda na pozór czysta dłoń twą nęci, by zaczerpnąć; lecz po jej brzegach poznasz, że ruda przesiąkła, a barwa i woń do ust donieść nie pozwolą. U zgniłych palów, które starych łąk granice znaczyły, znajdziesz w próchnie wylęgającego się węża; na każdej kałużce żabę z otwartymi oczyma wpatrującą się w ciebie; na każdym źdźble trawki uwieszonego komara, który cię nudzi piosnką i otacza chmurą żadeł nieodegnaną. Dziwnego kształtu muchy, koniki i jak pył drobne stworzenia, które na wiosnę wciągnięte z technieniem zabijają bydło, unoszą się tu gromadami: to pojedynczo, to w słupach ogromnych, wirując w górę kołysane wiatrem wieczornym.

Lecz powróćmy do lasów. Tu niemniej dziś smutno i ciężko spojrzeć dokoła. Żadna sosna wyniosła, żaden dąb stary, zielonej głowy nie podnoszą w górę. Na pobojuwisku zostały tylko młode brzezinki, żółta wypalona i nieżywa sośnina, puszczone dla trawy pożarem zabita łoża, trzmielina, krzak olszyny z pniem czerwonym w pośrodku, białe trzaski osiczyny i sokoru, lub skrzywiona, wychylona, poopalana zewsząd, na nic nieprzydatna już, a na tym cmentarzu sama jedna dogorywająca choina. Poniżej, łoża liści przegniłych przebijają pokorni lasów mieszkańcy, najdłużej pozostali, bo najmniej potrzebni: krzaczkę, bagna, wrzosa, czernicy i kruszyny, wyglądające bojaźliwie i tulące się do pogniłych pni dawnych swoich opiekunów. Natomiast bujne strzeliły roczne kwiaty, które zleciały się na żywną ziemię jak na pastwę; ich jasne główki kołyszą się wesoło, jaśniejąc mnóstwem barw, z tą żałobą lasów dziwnie sprzecznych. Lecz gdzież upadek jednych, nie

jest powstaniem drugich? Na cmentarzu tej arystokracji roślinnej, lud wesoło porasta i śmieje się rozsypując dokoła korzonki swe i nasionka.

Zgniłe kłody, obsypane trzaskami doły, z których pnie smolne wyjęto, ogniska stare popiołami użyżnione, już zarasta zieloność nowa, już pokrywa życie młode. Szybko puściły się smukłe białe brzezinki na wyższych miejscach; gdzieniegdzie krzaczysto i karłowato próbuje dąb sił swoich, męcząc się by wydobyć do żywota. Sosny podeptane, poobjadane i pokoszlawione, skrzywione i skarłale wielkich rodziców potomki, rachityczne, biedne, wygrzebały się także na piaskowych wydmach, gdzie było mniej chodzi. Ale to już nie owa stara, nie wiekowa puszcza, która tu wprzód rośla!

Przechodząc te zgłiszcza i rumowiska, nie spłoszysz zwierza, nie zaszelepie ci ptak nad głową, nie posłyszysz głosu dawnych mieszkańców lasu, którzy daleko gdzieś polecili słać nowe gniazda; tylko kaczką wędrowną kwaka ciągnąc na wyżary, z żeru wracając tylko czarny bocian leśny zaszumi skrzydły lub czajka swą żałosną wyśpiewa piosenkę. Zarosłe jamy wilcze, rozwalone stare szałas myśliwych, pozieleniałe wały potażowych pieców, zgłiszcza uciekłych chałup, spotykasz tylko po drodze.

Gdzieniegdzie kopiec przeбитý dębowym kołem, lub strojny zasadzonym dębczakiem, przypomni że i tu są granice; choć licha ziemia naga, nieprędko wartą będzie procesu i zwady.

Taki często obraz wyniszczonych lasów Polesia, chociaż nie wszystkie do tego stopnia zgładzone zostały. Miejscami choć wyrąbano sosny i dęby na belki, pozwolono żyć i podrastać młodzieży, zostawiono gąszcze, które bór robią tajemniczym i ciemnym, stare barcie, które napróżno ale oddawna pszczoł czekają, i brzozy co je tylko dziegiarz po pas z białych oberwał fartuszków. A choć kłody leżą i gniją wszędzie, bo nikt ich na opał, ani na budowę choćby były zdatne nie ruszy, mając sobie zarówno czy zdechłe podjąć zwierzę, czy zwalonego użyć drzewa; choć szramy żółtych trzasek znaczą gęsto miejsca gdzie żydzi ostrogscy wyrabiali belki; przecież tam jeszcze i zwierz i budnik biedny żyć może. Miejscami nawet niedostępne ostrowy błotami otoczone, zostały dotąd prawie nietknięte siekierą; tam bujają jeszcze łosie i stada sarn przelatują pierzchliwie, i dzik wylega się w świeżo wrytej ziemi na miękkim posłaniu.

Lecz niedaj tam Boże budnika! Wkrótce przetrzebią się ostępy, spadną bez użytku najpiękniejsze drzewa, powypalają się gąszcze i zapusty, bo nie ma dla lasu nic szkodliwszego nad Mazura; nawet pan zrujnowany, co tysiącami beczek smoły sprzedaje, gdzie ich stu wypędzić trudno, nie tak zniszczy jak budnik.

Od rana z siekierą w lesie; dla gałęzi gotów zwalić najpiękniejsze drzewo, na drwa będzie rąbał najcenniejsze sztuki, a dla swoich chudych krów, których na wiosnę nie ma czem pożywić, powali co napadnie, aby się choć młodem wypustkami najadły.

II

W jednej z puszczy poleskich niezupełnie jeszcze wyciętych, daleko od wsi i dworów, a nawet i dróg w kilku kierunkach bory przecinających; na wytrzebionej mokrej łące, którą gniły przepływał ruczajek, brzegi mając sitowiem i łotocią zarosłe; stała chatka budnika trochę na wyżynie, przyparta do ostępu mało co jeszcze przetrzebionego. Budnik wybiera zawsze gdzieby najwięcej zrobić mógł szkody.

Kilka ledwie dojrzanych drożynek ściagały się tutaj z różnych stron; jedne wydeptali ludzie, drugie bydło i kozy: a szersza nieco, głęboko wyryta kołami prostego wozu, zarosła, starą oznaczona była koleją. Dookoła szumiał las, nie wiele jeszcze i ze szczerem nigdzie nie wycięty; stare sosny z barciami na barkach, kilka dębów rozłożystych na pagórku, dołem olchy kępami rosnące i gęsta leszczyna, umajały to miejsce. Buda z bierwion sosnowych nieobrobionych, na mech zarzucona w zamki jak chaty poleskie, trochę od nich wyższa lecz bardzo podobna, wznosiła się na podniesionym brzegu łąki w cieniu brzóz i sosen. Dach jej pokrywały w części nieforemne dranice przybite kołkami, w części ponad szopą i obórką, które z nią jedną całość stanowiły, narzucone kupy wiszaru i miętej słomy, przyciśnione kluczynami brzoźowemi. W sposobie budowania tej chaty znać było, że się tu ani o trwałość, ani o wdzięk nie starano wcale; krzątano tylko pośpiesznie, nie rachując na długie jutro – aby było. Okna nieco większe od zwykłych po chatach, drzwi zbite z tarciczek, wrota do obórki z dranic krzywych nieforemnie sklecone, komin z płotu i gliny, czarny teraz i okopcony, dymnik z wyżłobionego pniaka olchowego; wcale nie zdobiły budy Mazura. Nigdzie pobiały, którą chłopek na święta jak białą koszulą zdobi swoje mieszkanie, malując w dodatku przyźbę żółto lub brunatno; nigdzie nic dla oka i serca. Za obórką z płotu, tuż płot drugi z gałęzi, z pniów wykarczowanych, z kłód poobcinanych, narzucony pośpiesznie otaczał ogródek, wśród którego zagonów lichu uprawnych, sterczały resztki niedogorzałe czarnych korzeni drzew i krzewów.

Lecz wnijdźmy wewnątrz chaty, którą składały: sionka niechlujna i ciemna, izba z alkierzem i komora po drugiej stronie. W izbie wszystek sprzęt prawie cechowała pośpieszna domowa robota: stoły i ławy chwiały się na cienkich, zaledwie z kory ostruganych nogach, zbite z deszczek łupanych, nierównych i nieogładzonych. Naczynia gospodarskie, które z konieczności szczelniejsze być musiały i pracowiciej wykonane, zdawały się kupne. Piec chlebowy z kominem i przyźbą, z gliny lepiony, wytarty plecami ogrzewających się przy nim, zajmował wielką część pierwszej izby; tuż bondur słomiany omazany gliną, służył do oświecania łuczywą w długie wieczory i ranki zimowe. Ściel nad izbą ułożona była z dylów sosnowych, potrząśnionych wiszarem i oblepionych gliną gdzieniegdzie otworami dobywającą się i na cienkich siana niciach wiszącą. Dym i kopeć uczyniły ją czarną, równie jak ściany. U drzwi jak w chatach stała rażka, ceber, wiadro, czerpak drewniany, łopata, kociuba tajemnicza, miotła do czyszczenia pieca na długim drągu i napleczki do noszenia wody.

Na kapturze komina i w piecu czarne garnki, na półce kilka flaszek i misek dowodziły wielkiego ubóstwa. W głębi mizerne łóżko, zaledwie zbite, narzucone brudną pościelą i staremi szczątkami sukman dziurawych, pokrywało wyglądający bokiem zielony kuty kuferek. Nad niem w ramach czarnych obrazek Najświętszej PANNY Częstochowskiej, Pan JEZUS Boremelski, palma, żółta gromnica z wiankami dosyć już upalona, wisały przy strzelbie i torbie. Na drugiej stronie, stare szablisko w żelaznej pochwie z rapciami skórzanymi, odosobnione, smutne, spoczywało opylone; dawno zapewne, dawno, bo i ściana pod niem była jaśniejszej barwy!

Zewsząd widna była wielka nędza, wypisując się na wszystkim. Smutno wpadało tu światelko okienkiem od łąki, smutno syczał ogień na kominie, a każdemu usiedzeniu na ławie towarzyszyło dziwne skrzypienie i suche jakby łamanie się drzewa. Nagie ściany kopeć tylko oczernił, a oprócz opiekunki MATKI Boskiej, starej nieużywanej szabli i strzelby, prócz prawie pustej pułeczki wiszącej w kąciaku, oko przebiegając je, nie miało się na czem zatrzymać.

III

W chwili, gdy się opowiadanie nasze zaczyna, było młoda jeszcze ledwie z pod śniegów wychylająca się wiosna, pora najstraszniejsza dla ubogich, bo stykająca się prawie z tym groźnym przednówkiem, który pocieszać nadzieją nowego, starego już nie ma pokarmu. Bydło i ludzie dożywszy do końca zapasów zimowych, oglądają się dokoła, prosząc Boga o zieloność i życie świata, które jest dla nich pokarmem.

Nic smutniejszego przytem nad tę w naszym klimacie często przykrą i długą porę roku, poprzedzającą rozbudzenie ziemi. Drzewa nagie, płachty śniegów czarnych niedotopionych, zlodowaciałych leżące po dołach, kryjące się w cieniach; powietrze wilgotne i zimne; na niebie szare chmury dżdżyste i śnieżne; w stodołach i spiżarniach już pusto lub niewiele zostało.

Bydło budnika przywykłe do pożywiania się nawet wśród zimy gałązkami młodeymi drzew, ich korą i odgrzebywanymi z pod śniegu trawami, choć wychudłe, życie swe przecież utrzymać potrafi. Koza zwija się i spina ku smacznym pączkom, które ją dostatecznie nakarmią; ale człowiek! Człowiek już w tej porze czasem mrze głodem, mieszając do chleba co tylko da się wmięszać na oszukanie żołądka i zyskanie czasu.

W chacie budnika późnym wieczorem, u bondura w którym gorzała szczepa smolnej łuczywy, siedziała cała rodzina, prócz jednego jej członka. Stary Bartosz jeszcze był w lesie.

Wdowa Salomea, żona niegdy brata Bartoszowego, zwana panią Pawłową; syn Bartosza Maciej i córka Julia, oglądali się coraz na drzwi, nasłuchując ażali nie wraca ojciec. Ciemny i mokry wieczór szumiał i szalał w puszczy, której głos dla przywykłych uszu głuchem się wydawał milczeniem.

W kominie skwarzyło się coś w garnkach, na które niekiedy dość obojętnem okiem spoglądała Pawłowa. Była kobieta lat pięćdziesięciu kilku, rysów twarzy pospolitych, cery właściwej budnikom żółtej i ciemnej, z twarzą pooraną marszczkami, w brudnej, dawniej białej chuścinie na głowie, odartym kabaciku płóciennym i grubej szarej koszuli. W zgasłych oczach, zbladłych ustach, malowało się przybicie nędzą, spodlenie cierpieniem; bo cierpienie, które podnosi i uszlachetnia, przybija także słabych i upadła!

Widziałaś patrząc na nią, że nie wzdrygnęłaby się na nic, byleby z ciężkiego żywota przejść do swobodniejszej doli; uczucia poczciwsze jeżeli kiedy w niej żyły, zagasty przywalone ciężarem codziennych trosk bez nadziei podźwignienia. Z podkurczonemi nogami, ręką pod brodę wciśniętą, rozczochranemi włosy bez barwy i kształtu, siedziała zamyślona głęboko, zadumana, nieporuszony wzrok utkwiony w ścianę trzymając.

Przy niej, na przypiecku także, przędła Julusia córka Bartosza.

Dziwneto było w chacie biednego budnika zjawisko: biała, blada, wysmukła, z czarnym kruczym włosom, czarnemi oczyma oćmionemi długą rzęsą, pokrytemi brwią kształtną, zdawała się ledwie dopiero z dzieciństwa do młodości przechodzić.

Pod grubą, ale czystą koszulą, poczynają się dopiero zarysowywać niewieście jej kształty. W czarnem oku, w ust zagięciu, mówiła przyszła, a jeszcze nierozwinięta namiętność. Ubogi strój nie był bez starania narzucony, ale ułożony widocznie z myślą, by przystrajał, by zdobił; gładko wyczesane prześliczne i ogromne włosy, wiążywała małeńka chusteczka czarno-niebieska, której węzeł nie był bez uwagi spleciony, końce zdawały się spuszczone z rozmysłem. Na szyi trochę paciorek i krzyżyk żółty, wyglądał z pod wywiniętego kołnierzyka koszuli.

Julusia (tak ją zwano) przędła, ale nie myśląc o kądzieli i wrzecionie, ze wzrokiem błędnym, który zdradzał zadumanie głębokie. Widać było, że myślami i nadziejami poszła kędyś za chatę i za lasy.

Niedaleko od niej na wywróconym cebrze siedział Maciej, prawdziwy budnik, z temi rysy twarzy bez wyrazu, którym nędza odjęła życie, barwę młodości, połysk żywota. Włos konopiasty najeżony na głowie, zwieszał mu się nad oczy siwe, blade, bezmyślne. W rysach nic nie było

szlachetnego, żadnego najdalszego nawet podobieństwa do siostry. Na policzku nie powstał ślad rumieńca, a ogół twarzy wcześniej zestarzałej, daleko więcej lat okazywał, niż Maciej miał ich w istocie. W tej chwili plótł łapcie milcząc; u nóg jego osmalony, z najeżoną sierścią, ostremi uszami, chudymi wciągnionymi boki, leżał stróż chaty, przyjaciel osobisty Macieja – stary, wierny Burek.

Trzask łuczywa z którego dobywały się kłęby czarnego dymu, uciekające bondurem, przerywał tylko milczenie. Nareszcie pani Pawłowa westchnąwszy i poskrobawszy się w głowę, zawołała ostrym i niemiłym głosem:

- A coto jest, że Bartosza nie ma?
- He? – spytał Maciej głupawo, rzucając łapcie.
- Dziwo, że Bartosz nie powraca.
- Co za dziwo! Musieli gdzie zabłądzić, noc taka czarna! Burek nie trafiłby.
- Gdzieby zaś Bartosz mogli zabłądzić!
- Albo czemu?
- Zna on przecie las, gdyby kieszeń swoją.
- Ba! każdy go z nas zna, a każdemu się trafi zabłądzić, jak **złe** zechce wodzić.
- Nie plótlbyś Maćku! – przerwała Pawłowa.

Maciej ruszył ramionami, potrząsnął głową, spojrzał na siostrę, która obudzona rozmową prząść zaczynała, i wrócił powoli do łapci.

– A mnieby się jeść chciało – rzekł po chwili do pani Pawłowej. – Czy będziecie czekali na tatula?

- Zdaje się, nie ma o co i pytać!

Maciej wstał, wyciągnął się, poszedł do drzwi napić wody, i rzucił się na ławę stękając, a poleżawszy chwilę, odezwał się chrapaniem.

Pawłowa posłyszawszy że spi i upewniwszy się spojrzeniem, obróciła się do Julusi która powoli przedła.

– Zaśpiewajcie bo co – rzekła – nudno! Wichrzysko się zмага, a to taka puszcza głucha. A ten bałwan śpi! Ciarki przechodzą po skórze. Jeszcze pod taką noc o **złem** wspominać!

- Nie ma bo ochoty śpiewać.

– Jakto? w twoim wieku? Mój Boże! Ja, kiedy byłam tak młoda, to mi pani matka, świeć jej Boże, gęby stulić nie mogła.

- Musieliście być w lepszym stanie, to wam i weselej było.

– Toć się rozumie! A bo teżto dawniej daleko inne i lepsze były dla wszystkich czasy! W puszczy roboty huk, aż miło taki rwetes i życie. Stuk, puk, siekiery brzęczą, w piecach trzeszczy, dziegieć kapie a Mazurowie śpiewają. Tu belki złote leżą, tu się klepka w stosy sypie, tam łuczywo w **szury** stawia, tu korę brzozową zwożą, dalej popioły palą, dalej potaż kipi. A trzeba wiedzieć, że nieboszczyk Paweł nie miał sobie równego do potażu, nietylko korytnego, ale nawet kotłowego. Sprowadzali go o dziesięć i dwadzieścia mil. I u niego zawsze popiół lepiej wydawał się jak u drugich. Był dostatek, nie ma co mówić, był grosz, było wszystko czego dusza chciała. A! a! gdyby nie to nieszczęście!

- Nieszczęście?

– Jużciż! że się pobili w karczmie z Krzywonosym i mój dostał w głowę obuchem, co kawęczał dwa lata w łóżku zanim umarł. Oj! ta to przekłeta choróbsko mnie zgubiła. Bo kiedy już Pan Bóg tak chciał, żebym była sierotą, niechby był taki pochorowawszy trochę skończył; ale to i on się nieboraczysko namęczył okrutnie, i my się utracili do ostatniej koszuli, że za co go potem i pochować już nie było. A na starość przyszło cudze kąty wycierać.

- Jakto cudze? – rzekła Julusia – taćmy przecież swoi, pani Pawłowa.

- Swoi! tak! swoi! – pokręciła głową i zamilkła.

Maciej spał, a Burek ukłádłszy się przy nim na ławie, patrząc w okno, uszy nastawił i sierść najeżył.

– Ale bo i wam ciężko! – dodała po chwili Pawłowa wzdychając. Ja co to lepszego kosztowałam i pamiętam dawniejsze czasy, nie wiem już jak dalej i wytrzymamy. Co dzień gorzej, co dzień nędza większa, roboty żadnej leśnej nie ma krom tej lichej smoły, co i pluć nie warto. Chcieliby nas na chłopów przerobić i z wołami do roli zaprządz, ale z tegoto nic nie będzie. Podobno rychlej z głodu pomrzemy.

Julusia westchnęła.

– Co życie to życie! Męka, krótko mówiąc. W spiżarni pustki jak wymiółł, bydełko pozdychało. Jedna chuda krowina i dwie kozy całego dobytku, a koźleta wilcy podławili. Na chleb mąki do przyszłej niedzieli nie stanie.

– Ojciec pomyśli i postara się.

– A z kąd on się postara? z palca wyłamię? Z fuzją chodząc co zabije to zjemy, ze skórki się nie z bogaci, bo i zwierza nie bogato w lesie, roboty nie ma, a panicz...

Na wspomnienie panicza Julusia nieznacznie się zaczerwieniła. Stara Pawłowa niby tego nie widząc, dalej kończyła:

– Panicz nie pomoże? jak myślicie?

– Alboż ja wiem? albo ja wiem – żywo odparła dziewczyna. – Ale zdaje się...

– A co ci się zdaje kochanie?

– Sama nie wiem. Juściż i on i stara pani bardzo dobrzy dla ludzi biednych; to tylko rządzca i ekonom coby z nich skórę zdarli gdyby można.

– Oj tak, szczerza prawda! Tak serdeńko! Panicz młody, serce dobre, śliczny chłopiec! A ty bo jemu w oczko wpadłaś.

– Kto? ja? – ruszając ramionami i rzucając się żywo do kądzieli zawołała dziewczyna. – Ja? dajcież pokój.

– No! no! Oczy mam nie dla proporcji. Nie udawaj! Wiem ja wszystko, wiem.

– A co macie wiedzieć?

– Co? ciekawość!! Panicz często z polowania pod naszą chatę zbacza, a jak ciebie zastanie na podwórku, to i zagada i zbliży się i pożartuje. A taki się robi słodki, miły, jakby go kto miodem posmarował. Oj! oj! gdybyś ty miała rozum, gdyby to tak ze mną, wiedziałabym ja co robić.

– Ale dajcież mi pokój! – porwała się Julusia cała w płomieniach. – Ja nawet nie wiem co wy sobie myślicie. Broń Boże by ojciec posłyszał!

– No, no! cicho! cicho! nie ma nic! – szepnęła stara ukośnem mierzając wejrzeniem Julusie najprzód, potem śpiącego Macieja.

Julusia tymczasem poszła ku piecowi zajrzeć do wieczery, na którą gotowały się kartofle i kasza, oboje bez omasty. Kartofle zatrzeć miano trochę sera wydając na stół, a kaszę tylko osolić i grzybem a cebulą podprawić; słonina była tu bajecznym przysmakiem, dawno niewidzianym, a odrobina masła najczęściej się sprzedawała kwaterkami w miasteczku dla kupienia soli i pierwszych potrzeb do życia.

IV

Jeszcze u ognia stała dziewczyna, gdy stuk dał się słyszeć u drzwi. Porwała się Pawłowa i Maciej przebudzony chcąc poświecić do sieni, myśląc że Bartosz powraca, ale zarżenie konia zatrzymało ich oboje. O tej porze w głębi głuchego lasu konny podróżny był wypadkiem tak zadziwiającym, tak nadzwyczajnym, że wszyscy spojrzeli po sobie z przestachem i niemem zapytaniem – coby to być mogło?

– Hej! jest tam kto? Panie Bartłomieju!

– To znajomy! – rzekł Maciej ośmielony – ale djabeł wie i kto i po co?

Pochwycił łuczywo, wychylił się za drzwi nieco i spytał: – A kto tam?

Burek także stanąwszy przednimi łapami na wysokim progu, zadarłszy głowę do góry, sytał najrozmaitszemi głosami swoje zapytania przybytemu.

– Nu! kto, swój. A weźcie sobakę.

– Jakiś żyd – szepnęła pani Pawłowa.

Maciej zaparł Burka do kąta za wiadro, na które wierne psisko wydrapawszy się ciągnęło dalej gderanie swoje.

– Nu! kto, swój! – odparł głos z sieni. – A jest pan Bartłomiej?

– Nie ma.

– A Maciej?

– Patrzcie i mnie zna! A toć ja jestem.

– Chodźcie tu. Jakieś konie koło waszej chaty się pasły. Połapałem je, pomóżcie mi je powiązać, bo się znowu rozbiegną.

– Konie! konie! czyje?

– Albo ja wiem.

– Ale cóżby tu konie cudze o północy robiły? – kiwając głową szepnęła Pawłowa. – A wyż tu co tak późno?

– Późno, niepóźno. Nu! to się dowiecie po co ja tutaj, a wyjdźcie i otwórzcie mi oborę.

Maciej ośmielony głosem żyda wyszedł nareszcie zaciekawiony do koni. Żyd Bramko, który się z nimi razem zjawił, dobrze mu był znajomy.

Mieszkał on w pobliskim lichem miasteczku poleskiem, położonym u rzeki spławnej, i z niej całe swe życie ciągnącem. Bindiuha drzewa towarne, skład materiałów leśnych, smoły i dziegiu z okolicy, mały handel zbożowy, dawały tu zarobek wieśniakom, a niekiedy i budnikom. Na mil kilka wkoło wszystko żyło tą miejsciną, począwszy od szlachcica co w niej potrzebne do życia zapasy na kredyt dostawał, aż do wieśniaka który tu sól, skóry wyprawne, czapkę na jarmarku i chustkę dla córki mógł kupić, a furę zboża, siana i drew za lichą cenę sprzedać. Wśród żydowstwa, które jak mrowie pod drzewem z upadłych iglic wznosi mrówisko co dzień szersze i większe, Bramko odznaczał się nie bogactwem, ale nadzwyczajną ruchawością. Nie było targu, nie było roboty, nie było kontraktu bez niego. Gdzie nie czynił sam dla siebie, faktorował; gdzie faktorować nie mógł, przeszkadzał; gdzie przeszkodzić w początku nie potrafił, popsuł podstępnie choć później. Chciwy, niezmordowany, zapalczywy do zysku, najdrobniejszej jego okruszyny na ziemię nie upuścił.

Podejrzewano go nie bez przyczyny o zyski tajemne z handlów zakazanych, a nawet o związki z szajką złodziejów konskich; ale tego nikt zręcznemu izraelicie dowieść nie potrafił. To pewna, że coraz inne i bardzo dobre konie pokazywały się w jego rękach; że często oddalał się nie wiedzieć dokąd, że do niego obdarci żydzi nieznajomi schodzili się nocami; ale prócz podejrzeń, dowodów na niego żadnych nie było.

Bramko był słusznego wzrostu, barczysty, silny, z oznaką zdrowia na twarzy, z pejssem czarnym i wejrzeniem zuchwałem a kolącym. Minę miał hardą, mowę często szyderską, obejście prawie dumne, zwłaszcza z tymi, których za niższych od siebie uważał.

– Nu! otwórzcie oborę! rzekł do Macieja, który wyszedł na podwórze i przypatrywał się z zagapieniem sobie właściwem czterem koniom płaczącym się na postronkach, wiedzionych przez jakiegoś obdartego żydziuka.

– A to na co?

– Konie postawim.

– Jakto postawim?

– Niechajby spoczęły.

– Myślicie tu nocować?

– Zobaczymy.

– Ale bo to u nas nie ma miejsca.

– Jakto? a obora, a stajnia?

– Stajni u nas i nie było nigdy, a w oborze drzewo schnie.

– A wasze bydło?

– Jakie bydło?

– Wasze. Albożto i bydła nie macie?

– Krowa stoi w sieni, a kozy pod przydaszkiem za oborą.

Żydzi poszwargotali z sobą po swojemu.

– Jakżeto będzie – spytał Bramko – to nie znajdziemy gdzie tych koni postawić?

– A cóż! chyba na podwórku.

Żyd mruczał gniewnie i chodził bijąc się po bokach; zbliżył się ku wrotom obórki, zmierzył je okiem i powrócił do Macieja.

– Mam interes do ojca, muszę się tutaj zatrzymać i konie te do jutra postawić; uprzątnijcie mi obórkę.

Maciej się rozśmiał. – Oj! oj! a toby było roboty na dwa dni, tyle tam kłód leży. A jeść-że cobyście dali tym koniom?

– Siano.

– Jakie siano? chyba go macie z sobą?

– A toć u was jest. A cóż je krowa?

– Krowa? Konie tyle rozumu co krowa nie mają. Ona żyje liśćmi i gałązkami, zwyczajnie budniczka.

Tu już Bramko kłąć począł w niebogłosy i szarpać niecierpliwie czapkę i jarmułkę.

– Nu! kiedy tak, zawołał, tem gorzej dla was; bylibyście mieli zarobek, byłbym ojcu nastroczył dobry interes, ale kiedy i koni nie ma gdzie postawić i pokarmić, to ruszę dalej.

– A jakbyście poczekali na ojca? On niebawem nadejdzie i da wam może radę. Tymczasem chodźcie i ogrzejcie się w izbie.

Żyd poszwargotawszy z odartym towarzyszem posunął się do chaty i wszedł nie zdejmując czapki do izby, czarnemi bystreimi oczy mierząc panią Pawłową i Julusią, ciekawie mu się też przypatrujące. Milcząc, pogardliwie rzucił się na ławę przeciw pieca, i zakasawszy poły, począł otrząsać z deszczu.

Jeszcze się był nie rozgospodarzył, gdy drzwi za nim skrzyły i stary Bartosz krokiem, po którym go wszyscy zdaleka poznali, przestąpił próg swojej budy.

Był to podżyły już, siwiejący nieco, wysokiego wzrostu, olbrzymich ramion mężczyzna, ubrany jak zwykle chodzą budnicy. Na nim szara, krótka kapota, pasem czerwonym ujęta, szarawary grube płócienne, łapcie ze skórzanymi sznurami, czapka mała bez daszka, torba borsucza i strzelba na ramieniu. U pasa w czarnej kaletce krzesiwo, przy niem zwieszony wielki nóż i drót do przetykania zapału w fuzji.

Piękne wyłysiałe czoło odsłonięte, ukazało w pełni twarz, nie idealną zapewne, ale pełną głębokiego wyrazu i energii; zdawała się wyciosana z kamienia i ożywiona myślą jakiejś niepocieszonej tęsknoty, niezwykłego smutku. Smutek ten w uśmiechu ust, w spuszczonej

powiekach, w zmarszczkach czoła się malował. Rzadka, ciemna, krótko przycięta broda, dobrze odbijała przy nagiej prawie i błyszczącej głowie.

Spojrzał Bartosz na swoich, potem na żyda i mruknął powitanie chrześcijańskie, które się tylko do domu i rodziny stosowało.

– Nu! jak się macie? – rzekł żyd sam zaczynając – dobrze żeście przyszli, czekałem na was.

– A cóż mi tam powiecie? – trochę dumnie odparł Bartosz – ciekawy jestem.

Żyd widać się obraził obojętnością budnika, od którego pokornego i serdecznego spodziewał się przyjęcia, wiedząc jak był ubogi. Stary zdejmował tymczasem z siebie torbę i strzelbę.

– Możebym wam naraił dobry interes, gdybyście mnie poprosili.

– A to wy nie wiecie, rzekł Bartosz, że ja nigdy nikogo o nic nie proszę, oprócz Pana BOGA?

– Nu! aj waj! Jaki wać dumny!

– Ale cóżto tam za dobry interes? Dacie mi robotę przy łuczywie u pana podsędka, czy dziegieć u pana Romualda? he?

– Tfu! to nie ma co gadać; znalazłoby się co lepszego, nie taka robota.

– Schowajże dla siebie! – rzekł mu Bartosz kiwając głową.

Żyd wargi zagryzał, plunął, ruszył ramionami.

– Nie gadajmy o tem.

– Nie gadajmy.

– Nie macie gdzie tych koni postawić, com je tu w lesie koło waszej budy niedaleko połapał?

– Koło budy! w lesie! Żartuj zdrów! kpisz z ludzi! A na cóż je tu masz stawić?

– Juściż przenocować, niechby odpoczęły, nim...

Maciej wplątał się tu w rozmowę, opowiadając ojcu, że już żydowi wytłumaczył, iż koni wcale nie było gdzie postawić. Stary potwierdził słowa syna.

Potem zbliżywszy się do żyda i uśmiechając z politowaniem i szyderstwem razem, rzekł do Bramka: – Czemu nie prowadzisz swojego towaru jak zawsze do Jakóba?

Na te słowa żyd poczerwieniał, pobladł, zerwał się z ławy i mrugnął na starca niespokojny. Ten uśmiechnął się tylko pogardliwie.

– Życzę wam właśnie poprowadzić do Jakóba; miejsca hukiem: bo dziś i Jakóba samego i konie jego zabrali w nocy do miasteczka przysłani dziesiętnicy.

– To nie może być! – zawarczał żyd rwąc brodę.

– Dowiecie się! – odpowiedział obojętnie Bartosz.

Bramko obejrzał się wkoło i żywo podstaąpił do starca, poczynając go pocichu prosić, kusić, nalegać nań; dobył nawet skórzanego worka, ale stary Mazur odepchnął go z zimną krwią i głośno tylko odpowiedział:

– Daj mi pokój!

– To wasze ostatnie słowo?

– U mnie nie ma pierwszego i ostatniego, tylko jedno słowo.

– Nu! dobrze! dobrze! – wściekle odezwał się żyd – pożałujecie! To mówiąc, rzucił się do drzwi i zniknął. Bartosz spojrzał za nim z uśmiechem, ale Bramko już nie zawrócił nawet. Nie słysząc tententu koni, myślał że zwyczajem Izraelitów zawróci się jeszcze, usiadł spokojnie na ławie i mokre obuwie zdejmować począł, gdy tymczasem Pawłowa przygotowywała wieczerzę. Żyd już się nie ukazał. Wkrótce Maciej wracający z podwórza z nieodstępnym Burkiem, doniósł, że konie zostały przywiązane do płotu, a żydzi znikli.

Stary podumał chwilę i nic nie odpowiedział, czoło mu się tylko zmarszczyło.

Wieczór krótki przeszedł w posępnem milczeniu. Bartosz z polowania i zwykłej przechadzki nic nie przyniósł, prócz jednego cietrzewia na jutrzejszy obiad. Mąki na chleb co chwila mogło zabraknąć, a Pawłowa nie śmiała na dno bodni, w której zsypana była, zaglądać.

Widziała stara ofiarowane przez żyda pieniądze, domyślała się bardzo o co mu chodziło i w duszy niecierpliwiła się na starego Bartosza; ale słowa wybąknąć nie śmiała, bo budnik niczyjej rady nie przyjmował.

V

Nazajutrz ranek był zimny, ale niebo wyjaśnione, ptastwo zbudzone słońcem świergotało w lasach, skowronek nad czarną jeszcze i obmokłą unosił się rolą. Stary Bartosz wyszedłszy przed świtem, zobaczył przywiązane jeszcze konie u drzwi chaty, które żydzi porzucili tu. Biedne szkapy pokładły się na gołej ziemi, skubały słomę rozsypaną i drzemały spędzone. Stary ujrzawszy je wzruszył ramionami i zawołał syna.

– Weź te konie, rzekł, i ruszaj z nimi do miasteczka, oddasz je pomocnikowi na ręce; powiesz, że Bramko był w nocy i zostawił tutaj.

Maciej spojrzął ojcu w oczy, poskrobał się w głowę i nic nie odpowiedział; widać jednak było, że wątpił o swojej umiejętności znalezienia się wobec straszliwego pomocnika, którego znano w okolicy z opilstwa i złości.

– Albo nie! nie! – mruknął Bartosz sam do siebie – pojedę sam z nimi lepiej.

– I pewnie! i pewnie! – spieszenie dodał Maciej – bo ja taki pewniusińkobym tam języka w gębie zapomniał.

– A ty, przerwał ojciec, ruszaj w las ze strzelbą i do dworu za chlebem co się nam tam należy. Kwitek znajdziesz zatknięty za obrazkiem.

– Do dworu, to choć z biedą, ale rady sobie damy – rzekł Maciej. – Ale i tam jak mnie poczną odsyłać od kąta do kąta, od jednego do drugiego!

– Juściż czas, żebyś sobie rady dawać nauczył – ofuknął groźnie stary Bartosz. – Wkrótce i mnie nie stanie, przyjdzie ci samemu i siostrą się opiekować i o chacie myśleć. – Maciej zamilkł; weszli do chaty nazad, gdzie już pani Pawłowa pochwyciwszy się z tapczana na którym spała, rozkładała ogień i przygrzewała trochę koziego mleka na ranny służyć mającego posiłek.

Słońce już się podnosiło ponad lasy i przeświecało jaskrawo przez nagie jego gałęzie, gdy Maciej ubrawszy się w szarą switę, borsuczą torbę, nowe chodaki i przewiesiwszy strzelbę, ruszył pieszo ku dworowi. Stary tymczasem podesławszy zgrzebny wór na konia, skoczył i poprowadził żydowskie szkapy do miasteczka. Machinalnie odmawiając ranne pacierze, Pawłowa krzątała się leniwo po izbie, Julusia cesała długi swój warkocz czarny przed rozbitem lusterkiem.

Obie milczały spozierając na siebie z ukosa. Julusia nie śmiała zaczepić starej, stara nie wiedziała jak zacząć rozmowę, której pragnęła. Nareszcie, gdy obie siadły pod piecem gryząc chleb czarny i suchy, zmoczony w troszce mleka, stara instynktowo obejrzawszy się po kątach i nie widząc nikogo, prócz chudego burego kota, poczęła:

– Ot! taki co bieda to bieda! A westchnąwszy – I będzie coraz gorzej a gorzej.

Julusia patrzała milcząc.

– Stary Bartosz całe życie goły był i umrze bez koszuli na grzbiecie; bo coby miał ze szczęścia korzystać, to mu hardość, a jakieś tam szkrupuły tryndają po głowie. Ot, albo i wczoraj! Żyd chciał tylko jaki dzień, dwa, konie przechować. Co jemu do tego jakieto konie. Nie! taki potrzeba koniecznie odepchnąć grosz, kiedy grosz do kieszeni się sunie. Wy bo wszyscy poginiecie przez wasze głupstwo.

– Dajcież pokój! Ojciec lepiej wie, czemu się z tym żydem zadawać nie chce.

– Bo tchórz a uparty! Panie Boże odpuść, ale mi taki prawda cięży i muszę ją wyspiewać; bo co prawda to prawda. Nie takie to teraz czasy, żeby pocziwością żyć można. To i chłop głupi, a powiada: „Nie wziawszy na duszu, nie bude w duszy.”

– Ej pani Pawłowa!

– Co tam! powiem taki prawdę całą! Ojciec stary ma we łbie ćwieka, o Macieju to już i gadać nie ma co, prosto głupi. Ot ty, żebyś miała więcej od nich rozumu, tobyś wszystkich poratowała.

– Ja! ja! a toż jak?

– Niby ty nie wiesz! Porzuć! porzuć! Coto nie rozumiesz, że tybyś wszystko mogła u panicza.

- Co bo mówicie! wam się śni.
- A taki co prawda to prawda!
- Ale bo to nieprawda.
- Jakto nie? Już ja tego z palca nie wyssałam. Kiedy mnie za język ciagniesz, no to ci powiem wszystko jak było.
- Cóż było? co? – I dziewczyna zarumieniła się, pokraśniała a oglądać poczęła z przestraczem.
- Wiesz, że w przeszłą niedzielę byłam we dworze.
- A tak, byliście! – odpowiedziała Julusia głosem drżącym.
- Ho! nie przerywajże a słuchaj. We dworze jak zwyczajnie u panów: szumno, wesoło, aż serce rośnie, a ludno jak w mieście. Ja, com-to dawniej dworsko służywała, przypomniawszy sobie młode latka, małam nie płakała z zazdrości. Nu! mniejsza o to. Gwar, śmiech, dostatek. Na folwarku u klucznicy kielbasy smażą dla gości; u ekonoma w karty grają, miód piją; w czeladnej izbie śmiechy i krzątania koło tłustych misek, z których słonina po ziemi kapie. Co już mówić o pałacu! Zaszłam najprzód do klucznicy z tą moją raną na nodze, prosząc maści. Klucznica bo stara moja znajoma, ale odprawiła po lekarstwo do samej jejmości, która taki kurować i ratować lubi. Wszakże starą jejmość znacie?

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.